

Śpiewać (nie) każdy może

A zwłaszcza ja.

Znów miałam w nocy piękny sen. Stałam na scenie i śpiewałam. Tak totalnie, na cały głos. Pełną piersią. Wspaniałe uczucie, jak ten cudowny głos wychodził gdzieś z głębi. Dosłownie czułam go w trzewiach. Widocznie mocno wczułam się w ten sen, bo jeśli wierzyć relacji męża, emitowałam jakieś makabryczne jęki potępieńcze i wszystkich obudziłam.

No i tyle mojego.

Na marzenie o śpiewaniu mogę się łapać tylko we śnie, ponieważ na żywo mam zakaz. Ech, żeby to jeszcze było jakieś dziedziczne i można było zwalić na geny, ale nie. Świętej pamięci dziadek robił za baryton w Chórze Juranda i w słynnych Rewelarsach, mama śpiewała u Muniaka, a tata, w czasie studiów, z sukcesem przygrywał do kotleta na sopockim Monciaku.

A tu taki niewypał się urodził. Całkowicie upośledzony wokalnie.

Jeszcze w dzieciństwie mama próbowała coś ze mnie wycisnąć, w nadziei że głos da się jakoś wytrenować, niestety mojego się nie da. Ja wiem, że niektórzy okropnie fałszują, ale to co ja robię wymyka się wszelkim definicjom. Do tego pokarało mnie podwójnie, bo przy tym mam absolutny słuch, tylko co z tego, skoro nie potrafię wydusić z siebie nawet jednego poprawnie czystego dźwięku? Nawet nie śpiewam „Sto lat!”.

Panie od muzyki zawsze myślały, że ja udaję i pałowały mnie równo. Kiedyś zaliczyłam nawet niedostateczny na koniec roku, ale mnie jakoś za uszy wyciągnęli, bo chyba nie ma takich cudów, żeby przy przyzwoitej średniej nie przejść przez pałę z muzyki 😊

Pamiętam też pewne zdarzenie sprzed lat, kiedy to dyrektor mojego liceum wymyślił sobie szkolny chór. Ogłoszono termin przesłuchań. Rzecz jasna nikt nie był głupi i każdy z nas wolał robić inne, dużo ciekawsze rzeczy niż kandydować na śpiewaka, wobec czego na spotkaniu nie pojawił się nikt. No to dyrektor wziął się na sposób i kazał każdemu wychowawcy wytypować do chóru po cztery osoby z klasy. Oczywiście padło też na mnie. Jako że zawsze trzymały się mnie różne wygłupy, wychowawca od razu mimo uszu puścił moje żarliwe zapewnienie, że ja NAPRAWDĘ nie umiem śpiewać. No, gorzej już wdepnąć się nie da. Cóż było robić? Trzeba było zacisnąć zęby i iść na przesłuchanie. Jak żywą, pamiętam pomalowaną na wściekły zielony groszek aulę. A swoją drogą to ciekawe, że po dziś dzień szkolne lamperie nadal występują w dwóch jedynie słusznych kolorach. Właśnie ten urywający gałki oczne groszek, ewentualnie coś w różnych odcieniach brudnego pomarańcza. Ale zostawiając kolorystyczną dygresję na boku, to w tej auli, na scenie, siedział łysy gość i z zapałem brzdąkał gamę na pianinie, które nie wiedziało co to stroiciel, a wokół podpierało ściany kilkudziesięciu znudzonych skazańców. Zaczęło się. Gość już na początku ustalił, że ci, co się nie nadają, mają stawać po prawej, a ci dobrze rokujący, po lewej. Ależ to były emocje. A największe były wtedy, kiedy przy moim trzecim podejściu do śpiewania ten łysy nie wytrzymał ciśnienia i wywalił mnie za drzwi □

Zatem sami widzicie, że temat śpiewania spędza mi sen z powiek od dawna i jak widać, to nawet we śnie, kiedy to spędza sen z powiek również i moim domownikom.

Jakiś czas temu wpadłam na świetny pomysł, że będę śpiewać w samochodzie. Muzyka na pełny regulator tak, żebym się nie słyszała i opór decha! Ileż to razy wracałam z chrypką, a mąż myślał, że na wyjeździe balowałam po całości. Przez jakiś czas działało, dopóki wraz ze zmianą zajęcia nie zmienił się cel moich podróży. Ostatnio wszystkie moje wyjazdy związane są głównie z gadaniem, a przecież rycząc wraz z Rammstienem na

trasie Kraków- Wrocław można stracić głos wielokrotnie.

Nie ma lekko. Dobrze, że chociaż istnieje vocaler 😊